

WOLNE SOCIAL MEDIA CZY WOLNOŚĆ OD HATE SPEECH - GDZIE POSTAWIĆ GRANICĘ?

Platformy mediów społecznościowych powstawały w wyniosłym celu - łączenia ze sobą ludzi. Szczytne zamiary skończyły się w momencie, w którym odkryto, że można na nich ubić niezły biznes i stały się również obszarem działań marketingowych. Czy w momencie, w którym zaczęły służyć także jako narzędzie polityczne, możemy mówić, że przestały być szansą na łączenie ludzi bez względu na odległość a zaczęły być dla nich zagrożeniem?

Media społecznościowe to doskonałe narzędzie służące nie tylko do komunikacji. Zapewniają również rozrywkę, dzienną dawkę informacji, pozwalają wyrazić swoją opinię i poznać opinie innych, nagłośnić potrzebę pomocy lub bulwersującą sytuację. Oficjalne profile prowadzone przez osoby publiczne dają również możliwość zapoznania się z tekstami opiniotwórczymi. Z drugiej strony, oprócz możliwości pooglądania w drodze do pracy słodkich małych kotków i zdjęć z wakacji kolegi z podstawówki jest to także perfekcyjne medium do wywierania wpływu na opinię publiczną poprzez wpuszczanie w jej przestrzeń fake news, prowadzenie propagandy i odpowiednie moderowanie dyskusji w sieci.

Media społecznościowe wykorzystane w umiejętny sposób mogą posłużyć zarówno jako narzędzie do prowadzenia marketingu politycznego, ale również, co widzimy ostatnio do prowadzenia propagandy. Każda manipulacja wpływająca na nastroje społeczne przekłada się ostatecznie na bezpieczeństwo i porządek publiczny, ma wpływ również na decyzje polityczne, podburzanie społeczeństwa i „mącenie” w opiniach. Media społecznościowe są także narzędziem, gdzie jak dotychczas króluje „wolna amerykanka”, która czy to przy okazji drastycznych wydarzeń czy politycznych skandali, krok po kroku jest ograniczana. Coraz częściej pada hasło o konieczności uregulowania prawnie tej sfery funkcjonowania w sieci. Czy zatem preferujemy niczym nieograniczoną wolność słowa czy porządek kosztem wprowadzenia regulacji a tym samym i kontroli?

Socialowa „wolna amerykanka” nie tylko w USA

Po skandalach związanych z wykorzystaniem mediów społecznościowych jako narzędzia politycznego nacisku na wyborców w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii czy Hiszpanii coraz częściej mówi się o konieczności uregulowania prawem tego obszaru działalności. Również Polski nie ominął skandal z dość niejasnym zakupem botów działających na rzecz Andrzeja Dudy w kampanii wyborczej w 2015 roku.

Po licznych skandalach, zabrano się za „sprzątanie”, również w Polsce. I zaraz po tym jak masowo usuwano przejawy tzw. hate speechu z mediów społecznościowych pravicowi użytkownicy oraz prawicowe media przekazu (nie tylko gazety czy portale internetowe, ale również bardzo opiniotwórcze i posiadające duży zasięg profile) pisały o blokowaniu i usuwaniu treści „patriotycznych”, katolickich i broniących prawicowych wartości. Prawdziwą burzę na prawicowych portalach w 2016 roku wywołało usunięcie oficjalnego profilu Marszu Niepodległości i kilku portali skrajnie prawicowych, za wykorzystanie niedozwolonej symboliki. Pojawiły się głosy, które utrzymują

się do tej pory, że platformy społecznościowe próbują cenzurować i ograniczać wolność słowa swoich użytkowników. Nie przebijają w słowach głosząc o „lewackiej propagandzie” „cenzurze” lub nawołują, aby „nie pozwolić LGBT na cenzurę w sieci”. Pojęcie wolności słowa zaciera się z wolnością do nieograniczonego krytykowania. Obrażanie i hejtowania opcji przeciwnej wyjaśnia się jako „dyskusję” i przedstawianie własnej opinii.

Wątpliwości budzi również kwestia samowolnych socialowych detektywów i wymierzania społecznej kary za zachowania nieakceptowalne. Wytropienie i publiczne „wymierzenie sprawiedliwości” dla wandala chwającego się niszczeniem wytworów sztuki, zidentyfikowanie sprawcy nieakceptowalnego czynu na wrzuconym do sieci amatorskim filmie może zakończyć się niekontrolowanym społecznym linczem na użytkownikach sieci. Media społecznościowe nie zważając na domniemanie niewinności zastępują wymiar sprawiedliwości i wyroki sądów biorąc sprawy w swoje ręce. Oczywiście można dyskutować czy kara społecznego ostracyzmu jest mniej lub bardziej dotkliwa dla „złapanego” winnego, czy publiczne potępienie i narobienie potocznej „siary” nie przynosi większych skutków społecznych i pozwoli nie tylko wpłynąć na zachowanie tej osoby w przyszłości, ale również na zachowanie innych pokazując wprost co jest społecznie nieakceptowalne. Jednak jak dotychczas jasno określone jest kto stanowi wymiar sprawiedliwości i w jaki sposób wymierzana jest kara. Media społecznościowe znacznie ograniczyły prawo „oskarżonego” do obrony przed zarzucanymi czynami.

Problem rodzi się w momencie, kiedy lincz wymyka się spod kontroli – hejt nabiera przerysowanych ram, przenosi się również na rodzinę czy wpływa na komfort życia czy prowadzone życie zawodowe nie tylko w sieci. Widzimy jak starannie pielęgnowany wizerunek w sieci prowadzonych małych biznesów może zostać zniszczony w zaledwie kilka godzin. W takich sprawach mało kto pyta o kontekst, o poznanie sedna sporu czy wysiła się na poznanie wersji drugiej strony – społeczność internetowa działa impulsywnie i często bez myślenia o potencjalnych skutkach. Byliśmy również świadkami błędnego zidentyfikowania „winnego” i wylewu hejtu, zawierającego również groźby karalne, na przypadkowo wskazaną osobę. Użytkownicy niczym sztandarowy przykład zachowania tłumu na początku przystąpiły do linczu, po czym po wykryciu „błędu” dość szybko przerwali hejt na podmiot, który błędnie nakręcił spiralę nienawiści. A gdzie w tym jest ofiara? Raczej wątpliwe jest czy hejtujący tak żywo jak publiczny hejt publikowali również publiczne przeprosiny.

Trudno zdecydować też co należy zrobić w kwestii funkcjonowania grup czy profili które publikują treści czasami wręcz jawnie stojące w sprzeczności z wiedzą naukową. Zastanawiające jest czy możliwe jest zakazanie funkcjonowania profili samowolnych lekarzy czy „znachorów”, którzy publicznie głoszą informacje przeczące dokonaniom współczesnej medycyny czy zachęcające do zaprzestania leczenia na rzecz niekonwencjonalnych sposobów walki z chorobami. Warto zastanowić się czy publikowanie takich informacji pod przykrywką „wiedzy” medycznej czy naukowej nie powinno wiązać się z koniecznością ponoszenia odpowiedzialności za swoje wpisy? Może jednak z uwagi na dobro ogółu społeczeństwa nie warto byłoby się zastanowić nad ograniczeniem tego typu treści? Z drugiej strony każdy ma możliwość wyrażania swojej opinii w tym również do głoszenia tez uznawanych za antysystemowe.

Regulować czy nie regulować - o to jest pytanie!

Nie wydaje się dużym nadużyciem stwierdzenie, że debata o konieczności nałożenia regulacji na platformy społecznościowe toczy się globalnie. Zajmują się tym zarówno poszczególne rządy, jak i organizacje międzynarodowe, ale również zorganizowane grupy działające politycznie i społecznie.

Walka z hate speech na portalach internetowych już się rozpoczęła, choć na ten moment można powiedzieć, że dopiero raczkuje. Usuwane są treści uznawane za niezgodne z zasadami społeczności, czyli przedstawiające nagość lub nacechowane seksualnie, mowa nienawiści, groźby i bezpośrednie ataki na osobę lub grupę a także przedstawiające samookaleczenia i nadmierną przemoc. Twitter

określił katalog zakazanych treści z jeszcze większą dokładnością, jednocześnie zastrzegając, że podejmują działania po zgłoszeniu tych treści przez użytkowników.

W kwietniu tego roku, Parlament Europejski przegłosował projekt nowych przepisów, na mocy których portale, na których umieszczono materiały o charakterze terrorystycznym mają za ledwie godzinę na usunięcie treści. Czas liczony jest od momentu zgłoszenia przez uprawnioną instytucję działającą w konkretnym państwie członkowskim. Skutek za przekroczenie czasu jest niebagatelny, bo przepisy przewidują karę do 4% rocznych obrotów podmiotu. Niekwestionowanym liderem, jeśli chodzi o wysokość kary jest Australia, która po zamachach w Christchurch, wprowadziła do systemu prawnego kary więzienia oraz nawet karę w wysokości 10 % rocznych obrotów za zbędną zwłokę w usuwaniu zgłoszonych treści o charakterze ekstremistycznym.

W Polsce próby podjęcia regulacji treści publikowanych w Internecie (w tym również na portalach społecznościowych) podejmowano pośrednio i bezpośrednio przez różne grupy nacisku społecznego. Działania widoczne są zarówno poprzez siły ultrakonserwatywne jak i środowiska lewicowe. Trudno sobie wyobrazić, że próby pośredniego wpłynięcia na to co można publikować w Internecie (w tym również w mediach społecznościowych) zawarto w projekcie #RatujmyKobiety. I choć zapisy odnosiły się do zakazu publikacji treści, które niezgodne są z obowiązującą wiedzą naukową wydają się dość racjonalne, zapis stanowi dość kontrowersyjną materię. Z uwagi na fakt, że projekt upadł, możemy jedynie gdybać w jaki sposób zapis ten funkcjonowałby w rzeczywistości i czy nie byłby białym rękawem na wszelkiego rodzaju portale związane z „medycyną alternatywną” czy „tropicielami Big Pharmacy”.

Jako drobny sukces rządu można zaliczyć również nawiązanie współpracy pomiędzy Ministerstwem Cyfryzacji a Facebookiem oraz utworzenie tzw. punktu kontaktowego. W założeniu punkt ten, nad którym organizacyjną pieczę nad systemem sprawuje NASK, ma na celu możliwość ponownego weryfikacji odmowy dotyczącej odwołania od decyzji o blokadzie treści, którą opublikowali na swoim profilu. Punkt jednak służy jedynie jako pośrednik i wysyła prośbę o ponowne sprawdzenie treści do tej samej komórki, która robiła to w ramach normalnej procedury. Trudno więc oczekiwać, że przyniesie on inny wynik oceny niż poprzednio. Działanie to jest wynikiem działania prawej strony sceny politycznej, która stale informuje o usuwaniu treści na portalach społecznościowych o charakterze patriotycznym lub propagujących konserwatywne wartości.

Protesty w Hong Kongu impulsem do kolejnych zmian na platformach społecznościowych?

Propozycja regulacji obszaru funkcjonowania mediów społecznościowych pojawia się dość regularnie. Pojawiła się również ostatnio w dość nieoczekiwanych okolicznościach, bo w kontekście zakupionych postów sponsorowanych na Twitterze przez rząd chiński przy okazji wystąpień społecznych, które mają miejsce obecnie w Hong Kongu. Redaktor Forbesa opisując sytuację zakupu treści sponsorowanych zadał dość dyskusyjne pytanie czy nie należy tego typu treści będących propagandą, po prostu ściągać z widoku publicznego. Zarówno Facebook jak i Twitter wybrnęły z całej tej sytuacji perfekcyjnie. Obie platformy wydały oświadczenia w których napisały, że po przeprowadzeniu wewnętrznych śledztw zdecydowały się na zamknięcie kont związanych wykorzystywanych do prowadzenia prorządowych działań propagandowych. Jednak jak podkreślono zostały one zamknięte z uwagi na zachowania niezgodne z regulaminem a nie treści, które publikowały.

Sprawa ze ściągnięciem treści stanowiących propagandę jest o tyle dyskusyjna, że trudno wskazać na podmiot mający decydować o tym, które treści mogą być publikowane a które nie – pod warunkiem, że nie propagują treści zakazanych. Jednocześnie należy mieć na uwadze, że możliwość ingerowania w politykę serwisów społecznościowych jest łakomą propozycją dla każdego aktora, dlatego w tej materii należy być szczególnie delikatnym. Twitter już zapowiedział, że właśnie wprowadza zmiany w regulaminie na mocy, których, media zależne od państwa, nie będą mogły wykorzystywać płatnej reklamy na platformie. Podmioty te będą mogły korzystać z medium do prowadzenia komunikacji,

jednak nie będą mogły korzystać z produktów reklamowych.

Trudno pogodzić społeczność internetową. To co dla jednej strony jest korzystaniem z prawa do wyrażania swoich opinii dla innych jest przekraczaniem wolności słowa. To co dla jednej grupy jest hate speech, dla innej będzie wymianą opinii i wyrażaniem dezaprobaty do pewnych zjawisk. Faktem jest, że ograniczenie wolności do hejtu i publikowania treści niewłaściwych jest potrzebne. Jednak clue problemu leży w określeniu granicy oddzielającej „właściwe” od tych „niewłaściwych”. Problemem jest również kto powinien o tym decydować. Algorytmy choć coraz bardziej dokładne, nie stanowią rozwiązania problemu. Do momentu, w którym nie będą w stanie wykrywać kontekstu czy sarkazmu mogą stanowić zaledwie narzędzie wspomagające. Nie wygląda natomiast aby możliwe było znalezienie złotego środka w tym obszarze.